

TYGODNIK SŁOWA POLSKIEGO

BEZPŁATNY DODATEK NIEDZIELNY DO „SŁOWA POLSKIEGO“ POŚWIĘCONY NAUCE LITERATURZE I SZTUCE
POD REDAKCYĄ JANA KASPROWICZA.

WACŁAW RADZISZEWSKI.

Widziałem dziwny kościół.

I.

Widziałem dziwny kościół. — Cały marmurowy,
Mistrzowskich rąk rzeźbiona precudnie robota,
Opleciony w gałęzie z szafiru i złota,
Stoi jak wschodniej baśni cudny sen tęczyowy.

I stoi jasny, świetny, wielki, marmurowy,
Wieczysta słońce i kwiatów duma i pieszczota,
I cały skrzy się, mieni i lśni i migota
Ten kościół, jak świat stary, — a dla wszystkich nowy.

Widziałem wychodzących: — przez mileżące wrota
Z niepokojem, z przestachem ludzki tłum się toczy
I krzyczy: Tu wprowadza kłątwa i nieszczęście!

Wyrzekają, złorzeczą, zaciskają pięście,
I dziwne! Z utęsknieniem każdy zwraca oczy
Na ten kościół marmurów, szafiru i złota.

II.

A wewnątrz na marmury, w odrętwieniu lśniące,
Padły cisze ogromne, tajemne, grobowe.
Od dawna tu już nie grzmiały żadne hasła nowe,
Od dawna tu już żadne nie zaziera słońce.

I pada światło mgliste, niepewne, gnębiące,
Na tłumy, co, w zwątpieniu pochyliwszy głowę,
Z niewiarą i szyderstwem patrzą w Bogi owe,
Które lepiły same, — gdy świeciło słońce.

Dziwne, och, dziwne tłumy! Wieje od tych ludzi
Straszny chłód, straszna nuda, straszne zniechęcenie,
Dziwny tłum! Wszystko przeszedł i wszystko zrozumie

I wszystko wie — i wszystko zohydzi i zbrudzi,
I na wszystko zawoła: złudzenie, złudzenie...
I beznadziejny smutek tylko nad nim szumi.

III.

Dziwny tłum, dziwny kościół! Jego sklep olbrzymi
Milion Bogów schronieniem marmurowem darzy, —
Tyle Bogów! i tyle przepysznych ołtarzy!
A przed każdym lśni lampka wieczysta i dymi.

Tyłu Bogów tu władnie!! Przed Bogami tymi
Ten tłum dziwny sam lampki napełnia i jarzy;
I z uśmiechem spogląda na skeptycznej twarzy
Jak jego łyzy się świecą, jak jego krew dymi.

Dziwny tłum, dziwny kościół! — A jakie tam wota
Polyskują na ścianach z szafiru i złota!
Kosztowne, ach, bezcenne! a tak ich tam wiele!!

Więc Zwątpienie! więc Zawód! więc Lęk! więc Zgryzota!
A każde tak ze ściany lśni się, tak migota!
I tylko rozpacz głucho wyje w tym kościele.

IV.

Jednak codzien tym Bogom Nicości i Głuszy
Nowe wota się daje, nowe lampki sprawia,
I codzien się tam cicha, straszna Msza odprawia,
Pisana krwią i łzami oblakanej duszy.

I codzien się bóg każdy, jak próchno rozpruszy,
I codzien nowy czciciel na nowo go stawia:
I codzien się ta cicha, straszna Msza odprawia,
Pisana krwią i łzami zawiedzionej duszy.

A w górze, — tam pod stropu mileżącym ogromem
Fatalność obojętnie na skrzydłach się waży
I patrzy okiem drwiącym, szklistem, nieruchomem,

Na tę Mszę, co się codzien czyta u ołtarzy,
Na ten tłum, który zwątpił — i oszalał z trwogi,
Na ten kościół złocisty i na jego bogi.

R. KONICZ.

SCHERZO H-MOLL.

(WSPOMNIENIE.)

Pierwszy raz zima w Paryżu ogromnie mi dokuczyła. Sekwana ścieła się lodem, sanki cicho przesuwają się po lasku bułońskim, olbrzymie kominy, w moim hotelu, to strzelały płomieniem, to syczały rozpalać nowe kłody drzewa. Przystałam nareszcie i na użycie koksu, którego nie cierpię, ale chciałam się raz ogrzać, bo choć w olbrzymią rotundę futrzaną otulona, czułam, że mi dusza zamarza.

Ile razy jednak przystąpiłam do okna, widząc eudowną okiś na drzewach parku, brylantowe w sło-

necznem świetle pinie, ty'e razy zapominałam o „zamarzającej duszy“ i zaczynało mi śpiewać w sercu:

„Polska, Polska, jak w Polsce. Tam tak być powinno, tu taka zima nieostosowna“. Może by tam na święta pojechać? — myślałam. Do kogo jednak — wszystkie moi rozproszeni po Europie. Mamy nie ma na ziemi — i nie dojechałabym już nawet. Jutro wigilia!

A on, mój ukoehany, prawie już narzeczony, nie wiem zresztą jeszcze, cóżby począł bezemnie?

Właściwie jednak, jemu wszystko jedno. Boże Narodzenie, Wielkanoc, niedziela, dzień powszedni, u niego zawsze święto. Zagra sobie, mnie, całemu światu — zawsze święto!

A ja? Słyszę w około „Vigile jeune“ — „Reveillon“... Cóż to za martwe słowa! Ach, gdyby mi kto dał taki jeden dzień z dzieciństwa z szopką i drzewkiem w rodzicielskim domu — taki jeden wieczór!

W tej chwili służący zaanonsował przybywającego gościa.

To on. Ten, którego kocham, najpiękniejszy najdowcipniejszy, najwykwintniejszy, artysta wsławiony.

Wie, że go kocham, kiedy się pobierzemy, nie wiem. Czemuś zwlekam, czegoś czekam, czegoś się w nim doszukać nie mogę.

Wszedł.

Chodząc szybko po salonie, nie chciałam się zatrzymać na powitanie przybyłego. Niepodobna mi było w tej chwili w obym języku przemówić. Zacząć biegać za mną w wesolem usposobieniu.

— Zimno, rozumiem to doskonale, ale cóż to znowu było za granie wczoraj na koncercie, cała publiczność nie mogła sobie zdać sprawy z tego, co słyszała, Chopin nie Chopin?

— Widziałam się w wielkim, białym salonie naszego pałacu, w pustym i nieoświetlonym, a jednak jasnym mleczną jasnością blasku księżycowego i śniegu, co okrywał cały park widny jak na dłoni — świst gwałtowny zawirował nad basztami, potem przypadł nisko, ku ziemi. Wtenczas, jak na dane hasło, poczęły wiotkie brzozy podnosić i zniżyć brylantowe gałązki, i wszystkie bezlistne drzew szczyty pochylać swe wyniosłe korony — a majestatyczne świerki, dumnie okryte płaszczem — wiecznej zieleni, rozkładały ramiona i zdawały się padać jak ludzie padają krzyżem, zdjęci nagłą boleścią i skruchą. — I tym podmuchem zimnego wiatru rwane drzewa, zwiły się i rozplatały dziwnie widmowym ruchem, a ich czarne cienie na białych całunach śniegu, zdawały się w ziemię zapadać. — I ja z niemi padałam zwolna w moc strachu i zwątpienia, gdy cudna niebiańskiej słodyczy pełna, kołysanka „Matki Zbawiciela“ zabrzmiała powtarzana głosami dzieci „Lulajże Jezuniu“ — wyrwała mnie z tej otchłani. Pobiegłam w stronę złocistych blasków pełnej szopki, gdzie miłostę czysta i święta, mistyczna i ofiarna, najcichsza i największa przez wieki niosła nam zbawienie. — „Molto piu lento“ — to wszystko widziałam — grałam i odczuwałam.

— Grałam sobie, jak mi się podobało...

— Podobało się Pani? w tym tempie? — to dziwne!

— Wszak Scherzo szalało dość gwałtownie, wolno mi było wypocząć — a potem „Molto piu lento“ to znaczy, jak się komu podoba...

— Ale zlituj się Pani, takie rzeczy można robić w domu, nie na koncercie — pani nad każdym tonem rozmyślała.

— Gram zawsze za darmo!

— Ale publiczność płaci...

— Mniejsza z tem, ma dość pieniędzy do wyrzucenia nawet!

Dysputa zaczęła się zaostrzać.

— To logika kobieca!

— Zawsze się podobałam, i tym razem się podobałam...

— Pani się podobała, nie jej gra.

— Moja gra więcej niż kiedy!

— Zapewne dlatego Largetissima; nuty rozwlekłe nie rytmiczne, nie melodia, lecz recitativo!...

Podniosłam głos —

— Pan się na tem nie zna! To przecie także podobne do „Lulajże Jezuniu“!...

— Do czego podobne?

— Do „Lulajże Jezuniu“, do kolędy naszej, rzekłam głosem, w którym prawie płacz słychać było. — Zwalniałam, zwalniałam, przypominałam sobie różne rzeczy. — Posłuchajże Pan!

Pobiegłam do fortepianu, i zeszywniałemi od zimna palcami zagrałam kolędę.

On słuchał zdumiony, nareszcie rzekł:

— Ależ to absurdum! Jakto, cztery czy sześć nut jednakowo zestawionych, już mają stanowić podobieństwo? No, to w takim razie nie komponować nie potrzeba, bo wszystko do wszystkiego podobne.

— Nie wszystko — zawołałam z pasją. — Oboje jesteśmy ludźmi, a jednak bardzo się różnimy!

— Jak scherzo od kolędy — próbował łagodzić.

Zamilkłam. — „Jaki on banalny!“ przesunęło mi się w myśli. Znudził by mnie za dwa dni, gdybyśmy żyli z sobą na codzień, nie rozumie nie duchowego. Zawsze zadowolony, a unosi się tylko wtedy, gdy usłyszy usterki techniczne. Wyraża się bezwzględnie. Gdzie się wychował?

— Przecie pan miał matkę? — zagadnęłam nagle.

— Naturalnie, że miałem matkę — odpowiada z komicznym naciskiem. — Nie jestem pierwszym człowiekiem tej ziemi.

— Ach tak, ale chcę wiedzieć, kto ona była? Jak pana wychowała!

Czułam poniewczasie, że akcentowałam trochę niedelikatnie pytania.

— Ona była — mówi w zamyśleniu — śpiewaczką w Medyolanie. Nie pierwszorzędną, bo nie miała silnego głosu, ale bardzo muzykalną, początków muzyki udzielała mi sama doskonale.

— Więc była Włoszką?

— Nie — Polką.

— Polką?

— Tak.

— I Pan nie znasz mowy swej matki?

— Odumarła mnie wcześniej. — Zresztą znalazłam panią — mówi tklawie. — Nauczę się po polsku, a potem — znów powracając do tonu troszkę drwiącego śpiewa — „Lulajże Jezuniu!“

Zgniewało mnie to bardzo.

— Mnie pan znalazłeś, ale nie wiem, czy na długo.

— Jakto? — pyta zdumiony. — Czy nie jesteśmy narzeczeni?

— Nie o tem nie wiem!

— Gdy Polka przyzna, że koeha, już jest związana na całe życie — powtarza jedno z moich zdań kiedyś wygłoszonych.

— Ale ja nigdy nie powiedziałam...

— Jednak ja usłyszałem.

Dreszcz oburzenia mnie przejął. Wydał mi się zrozumiałym nie do zniesienia. Wysłałem z pokoju bez słowa. Słyszałem jeszcze, że coś trochę brzdąkał na moim cudnym Erardzie, potem kazał sobie przyprowadzić powóz — i najspokojniej odjechał.

Ta jego pewność siebie, i fakt, że nie próbował przebłagać mnie, ani uspokoić, rozboleła mnie i rozstroiła do reszty.

Stałem znów przy oknie, i znów polskie lasy srebrzyste, ośnieżone w tej chwili, przypomniły mi się, iż zaczęłam tęsknić, tęsknić tak szalenie, że się rozplakałam w głos, potem zawodzić jakoś pół śpiwając, pół jęcząc, jak nasze chłopki to robią: „Co ja tu będę robić, co ja jutro będę robić, nie mam nikogo, nikogo“.

Moja słodka Miss, która nademną czuwała, gdym jeszcze dzieckiem była, wbiegła, na te niezwykłe u nas dźwięki, i odrazu mnie zrozumiała.

— Tak, tak — mówiła, obejmując mnie ramionami. — Stoją wysokie obmarzłe choinki w ogrodzie, dom ci przypominają — wypłacz się serdecznie, to dobrze, dobrze.

Wypłakałam się też za wszystkie czasy jak dziecko i po chwili mogłam już mówić.

— Czy pamiętasz ty, miss droga, tę sosnę, na której szczytzie raz w dzień wili przytwierdzono lalkę, ubraną za anioła z lutnią złotostruną w ręku? — Czy pamiętasz ty to? Odrazu wiedziałam, że ta lalka jest dla mnie. Było to przecucie losu mego? I czy ta pinia nie przypomina ci swym kształtem tamtej sosenki?

I nagle zerwałam się. Owinęłam w duże futro Angielkę i pojechałyśmy do klasztoru polskich Sióstr Miłosierdzia.

Po tej wizycie uspokoiłam się znacznie, przez dwa dni miałam mnóstwo zajęcia.

Dwudziestego czwartego grudnia wieczór zajeżdżałam przed dom mego ukochanego.

— Gdzie Pan, co robi? — pytam odzwiernego.

— Jest w domu. Gra.

Gra?... Zaczęłam się przysłuchiwać. Z pierwszego piętra dolatywały przenikliwe dźwięki jego cudnych skrzypiec. Grał wolno z namysłem, nuta po nucie, słodką melodyę w triu z Scherza Chopina.

Zbiegł natychmiast skoro się tylko dowiedział, że czekam na niego, i z wielką serdecznością obie nas, mnie i Miss, powitał.

— Co mam robić? — spytał.

— Brać skrzypce i jechać z nami.

Zdziwienie jego było ogromne, gdy stanęliśmy w cichej ulicy, przed klasztorem św. Kazimierza.

Po długim oczekiwaniu w rozmownicy, gdzie nie zamieniliśmy prawie jednego słowa, wprowadziła nas siostra do dużej, białej sali szpitalika dziecinnego. Łóżeczka w koło ustawione nie wszystkie były zajęte; na kilku z pod białych kołderek wyglądały krótko ostrzyżone główki dziecięce, a oczy ich świeciły gorączkową ciekawością. Wszystkie były w je-

den punkt zwrócone — na drzewko. To drzewko, była to pinia z mojego ogrodu. Unosiła swe gałęzie ponad cudną szopką, a lśniącą, pełną świeczek i podarków, pyszniła się niby swym wyjątkowym stanowiskiem.

Po wejściu naszym, z głębi klasztornej korytarza, pojawiły się pierwsze pary sierotek, od najmłodszych i najmniejszych do najstarszych, wszystkie, bez wyjątku, kamieniły z podziwu na widok niespodziewany.

Bolał mnie prawie widok tych dzieci, jednakowe ubranych, których włoski ujęte w siatki czyniły je podobnymi do małych staruszek. Różnokolorowe wstążki z medalami, dawały świadectwo ich zachowania i postępów w nauce, zresztą nie ich nie odróżniało między sobą. Wehodziły milezące, niezgrabne i zażenowane, i stawały w szeregu. Poprosiłam siostry, aby im pozwoliła mówić. Tak potrzebowałam usłyszeć głosy dziecięce!

Wkrótce przy drugich drzwiach dały się słyszeć zrazu ciężkie stąpania, stukot szczeleń drewnianych, potem niskie głosy i przytłumione rozmowy, nareszcie dyskretnie, zaczęły się wsuwać postacie wiarusów siwych, brodatych, pokiereszowanych bez rąk, bez nóg, na kulach, każdy stawał, o ile mógł, wyprostowany, wszystko to weterani z roku 31 lub kaleki z 63. Ustawili się rzędem pod wolną ścianą, aby nie zasłaniać widoku chorym z łóżeczek, i tak samo jak dzieci, wlepili osłabione swe oczy w choinkę lśniącą.

Zaczęłam zdejmować z drzewka najprzód lalki i wręczać je dziewczynkom po kolei. Sposób w jaki je przyjmowały z rąk moich, był niezmiernie rozcudzający. Każda przytulała to nieme umysłowanie swoich marzeń do ust, do czoła, obejmowała obydwoma rękami, zaczynała mówić do niej, kładła na rączkach, lub pyszniła się przed koleżanką. Staruszkowie potracali się łokciami, uśmiechali pod wąsem, mrugali do znajomych czy miłych im dziewczynek, czasem wykrzykiwali:

— A Cesia?..

— A Dorecia!..

— Masz, masz Zoziu, to ślicznie — a podziękuj!..

I dzieci dziękowały, świergotały coraz głośniej i śmielej, coraz ciałniej okalały szopkę.

Wtenczas on, ruchem mu właściwym, podniósł skrzypce do twarzy, i jakby porozumiewał się z nimi lub coś im zapowiadał, zaczął grać najprościej, najrzewniej, najwolniej cztery pierwsze takty melodyi h-dur, wyjętych z Scherza h-mol. Wszystkie dzieci wraz ze mną w jednej chwili zaintonowały „Lulajże Jezuniu“, a on już do końca idąc w myśl kolendy cudnie nam wtórował.

Starcy zrazu próbowali śpiewu, ale czy głosy ich wydały im się za chropawe, czy od śpiewu odwykli, dość, że umilkali powoli, potem zaczęli ramiona podnosić w górę, niby się prostować, niby sztywnieć, nerwowymi ruchy podnosić ręce, o ile nie odmawiały im posłuszeństwa, wreszcie nie zważali już na wojskowy porządek. Najstarsi pochyliłi się ku ziemi, a ci, co mieli nogi, poprzyklekali, ci, co mieli ręce, skubali wasy, wyjmowali chustki, wszyscy niespokojnie oglądali się za siebie, szepcząc: Ojczyzna, Ojczyzna. I nagle wybuchnęli płaczem tak ogromnym,

że wszystkie dzieci zwróciły się w tę stronę, a po skrzypcach zsunął się jęk cichy i zgaśł...

Spojrzałam na grąjka mego, a po twarzy jego staczały się łzy, nieocierane, których się nie wstydział.

A ja — znalazłam w tej chwili to, czego się w nim długo doszukać nie mogłam.

MAURYCZY MAETERLINCK.

EMERSON.

ZE SKARBU POKORNYCH.

„Jedna rzecz jest ważna, mówi Novalis, to poszukiwanie naszego ja transcendentalnego“. To „ja“ spotykamy niekiedy w słowach Boga, w słowach poetów i mędrców, w głębi niektórych radości i niektórych boleści, we śnie, miłości, chorobach, w nadzwyczajnym zbiegu wypadków; daje nam ono znaki zdaleka i ukazuje palec na nasze stosunki z wszechświatem. Niektórzy mędrzy oddawali się jedynie takiemu poszukiwaniu i pisali książki, w których wszechwładnie panuje nadzwyczajność. „Cóż jest ważnego w książkach, mówi nasz autor, jeśli nie transcendentalne i nadzwyczajne“. Byli to jakby malarze, usiłujący uchwycić podobieństwo w ciemnościach. Jedni tworzyli obrazy abstrakcyjne, wielkie, prawie niewyraźne. Inni dochodzili do pochwycenia pewnego stanu lub ruchu, właściwego życiu wyższemu. Niektórzy fantazyowali istoty nadzwyczajne. Niewiele jest takich obrazów. A nigdy nie są z sobą podobne. Niektóre są bardzo piękne, i ci, którzy ich nie widzieli, podobni są przez całe swe życie do ludzi, którzy nie wychodzili nigdy z domu w samo południe. W obrazach tych znajdują się linie czystsze, niż linie nieba, a postacie wydają się tak oddalone, że nie wiemy, czy są żyjące, czy odmalowane z nas samych. Są one dziełem czystych mistyków, i człowiek jeszcze w nich nie poznaje siebie. Inni, których nazywamy poetami, wspominali nam o tych rzeczach ubożnie. Inni jeszcze, trzecia klasa myślicieli, podnosząc na wyższy stopień stary męt o centaurach, odtworzyli nam z tej identyczności tajemniczej obraz bardziej przystępny, mieszając linie naszego ja widomego z liniami naszego ja wyższego. Oblicze naszej duszy boskiej uśmiecha się tam niekiedy z za ramienia swej siostry, duszy człowieczej, pochylonej ku drobnym wysiłkom myśli, i ten uśmiech, ukazujący nam przelotnie to, co jest ponad myślą, jedynie coś wart w dziełach ludzkich.

Nie są oni liczni, ci, co nam ukazali, że człowiek jest większy i głębszy niż człowiek i tym sposobem utrwalili kilka z tych odwiecznych aluzji, które w życiu spotykamy na każdym kroku w poruszeniu, w skinieniu, w spojrzeniu, w słowie, w milczeniu i w wypadkach tych, którzy nas otaczają. Nauka wielkości ludzkiej jest najdziwniejszą z nauk. Niema człowieka, któryby jej nie posiadał, lecz nikt prawie nie wie, że ją posiada. Dziecię, które mię spotkało, nie potrafi opowiedzieć matce, co widziało, a wszakże skoro tylko wzrok jego dotknął mej istności, już wie wszystko: czem jestem, czem byłem, czem będę — wie to tak dobrze jak mój brat, a trzy razy lepiej niż ja sam. Poznało mię natychmiast w przeszłości i w przyszłości, w tym świecie i w innych;

i ze swej strony oczy jego odsłoniły mi rolę, jaką gram we wszechświecie i w wieczności. Dusze nasze już się osądziły; skoro tylko wejrzenie jego spotkało moje wejrzenie, moją twarz, moje wzięcie się i całą nieskończoność, która je otacza i której są tłumaczami — ono już wie, czego się trzymać; i chociaż nie rozróżnia jeszcze korony królewskiej od torby żebraczej, przez jedną chwilę znało mię tak dobrze jak sam Bóg.

Prawdą jest, że działamy już jak bogi i całe nasze życie płывa wśród niezawodnych i niezachwianych pewności. Ale jesteśmy ślepcami, którzy nad drogą bawią się drogimi kamieniami; człowiek, który zapukał do moich drzwi, w chwili powitania, obdziela mię takim przedziwnym skarbem duchowym, jakby książkę, któremu uratowałem życie. Otwieram mu — i w jednej chwili widzi on u swych nóg jakby z wierzchołka wieży, wszystko, co ma miejsce między dwiema duszami. Pytam wieśniaczkę o drogę, i oto osądzę ją w tej jednej chwili tak głęboko, jak gdybym prosił ją o życie dla mojej matki i jej dusza szepce już do mnie tak poufnie, jakby dusza narzeczonej mojej. Zanim mi odpowiedziała, wzniosła się szybko w górę aż do najwyższych tajni, a potem, wiedząc już dobrze kim jestem, odpowiedziała spokojnie, że mam wziąć się na lewo dróżką ku wiosce.

Jeśli spędzę godzinę jaką wśród tłumu, osądzę wszystkich, żywych i umarłych, nie mówiąc nic, nie myśląc nawet o tem, a któryż z tych sądów zmienionym zostanie w dzień ostatni? Oto w tym pokoju znajduje się pięć lub sześć osób, mówiących o deszczu i pogodzie; lecz ponad tą nędzną paplapanią sześć dusz wie dzie rozmowę, do której żadna mądrość ludzka bez niebezpieczeństwa zbliżyć się nie może i chociaż mówią oczyma, twarzą, rękami, całą osobowością swoją, tanei nie dowiedzą się nigdy, co dusze z sobą mówiły. A jednak muszą doczekać końca nieuchwytniej rozmowy; i oto dlaczego doświadczę w swoim znudzeniu, nie wiem, jakiej tajemniczej radości, nie podejrzewając wcale, co to w nich, mimo ich wiedzy, słucha wszystkich praw życia, śmierci, miłości, które jak prądy niewysychające opływają dom ich dokoła. Jest tak z tem zawsze i wszędzie. Żyjemy tylko według naszej istoty transcendentalnej, której uczynki i myśli przebijają co chwilę otulającą ją osłonę.

Mam zobaczyć dziś przyjaciela, którego nie widziałem nigdy, lecz znam jego pracę i wiem, że dusza jego jest niezwykłą i że całe życie wykazywał ją możliwie najwierniej, według obowiązku umysłów wyższych. Jestem pełen niepokoju i jest to godzina bardzo uroczysta. Wehodzi; i wszystkie wyjaśnienia, które nam podawał w szeregu długich lat padają w proch za poruszeniem drzwi, otwierających się przed jego istotą. Nie jest tem, czem sądzi się być. Jest innej natury niż jego myśli. I tu raz jeszcze konstataujemy, że wystąpienia umysłu są zawsze omylni. Mówił o swojej duszy rzeczy bardzo głębokie, lecz w tej małej chwili, która dzieli dwa wejrzenia: te, które się zatrzymuje, od tego, które się oddala, poznałem to wszystko, czego nigdy nie zdoła wypowiedzieć i czego nigdy w swym duchu nie zdoła powołać do życia. Odtąd należy już do mnie bezpowrotnie. Niedgdy byliśmy złączeni myślą. Dzisiaj coś tysiąc razy bardziej tajemniczego niż myśl wydaje nas sobie wzajemnie. Lata całe oczekiwaliśmy tej chwili, a oto czujemy, że wszystko jest bezużytecznem i w obawie

milczenia my, którzy byliśmy nagotowani wykazał sobie skarby swoje tajemne a cudowne, prowadzimy rozmowę o wydzwanającej godzinie, o słońcu zachodzącym, aby tylko dać czas naszym duszom podziwiać siebie i złączyć się uściskiem w tem innym milczeniu, co go szmer ust i myśli nie zdoła zamącić...

W istocie, żyjemy tylko dusza z duszą i jesteśmy bogami, którzy nie wiedzą o bóstwie swoim. Jeśli dzisiejszego wieczoru nie mogę znieść samotności i zstąpię między ludzi, posłyszę od nich, że burza otrzęsała im gruszki w ogrodzie, albo, że mrozy wczorajsze port zamknęły. Czyż po to przyszedłem? A jednak odejdę stąd wkrótce z duszą tak zadowoloną, pełną siły i skarbową nowych jak gdybym całe godziny przepędził z Platonem, Sokratesem lub Markiem Aureliuszem. To, co mówiły usta tamtych ludzi, nie zgadzało się zgoła z tem, o czem świadczyła ich istota; niemożliwym jest człowiekowi nie być wielkim i podziwianym godnym. To, co myśl myśli, nie ma żadnego znaczenia w obec tego, czem jesteśmy i o się potwierdza w milczeniu; i gdyby po pięćdziesięciu latach samotności Epiklet, Goethe i Święty Paweł przybili do mojej wyspy, nie zdołaliby mi powiedzieć więcej po nad to, co w tymże czasie, i może bardziej bezpośrednio, wyszepee drobna spieniona fala ich okrętów...

Zaprawdę, co jest najdziwniejszem w człowieku, to jego ważność i mądrość ukryta. Najlekkomyślniejszy nigdy wśród nas szczerze się nie śmieje, i pomimo wysiłków nie udaje się mu stracić ani minuty bo dusza ludzka jest czujną i nie nie czyni bezużytecznie. *Ernst ist das Leben*, poważnym jest życie, i w głębi naszej istoty dusza nasza jeszcze nie zaśmiała się nigdy. Poza naszymi ruchami mimowolnymi prowadzimy byt cudowny, niewzruszony, i bardzo czysty, i bardzo pewny, o którym napomykają bezustannie wyciągające się dłonie, otwierające się oczy, spotykające się spojrzenia.

Wszystkie nasze organa są mistycznymi współpracownikami istoty wyższej, i nigdy nie znamy człowieka, a tylko duszę. Nie biedaka spostrzegłem, który zebrął na stopniach mojego progu, ale widziałem inną rzecz: na naszych oczach dwa przeznaczenia identyczne witały siebie i kochały siebie, i w chwili, gdy żebrak wyciągał rękę, małe drzwiczki domu otwierały się przez chwilę na morze.

W stosunkach moich z dzieckiem, mówi Emerson, greka, łacina, wszystko złoto, które posiadamy, nie służy mi na nic; to, co mam w duszy, to tylko coś warte. Jeśli ja posiadam wolę, ono przeciwstawia jej swoje, jedna przeciw drugiej, i pozostawia mnie, jeśli zechcę, wstyd nadużycia mej siły w razie, gdybym go uderzył, lecz jeśli zrzekam się swojej woli, jeśli postąpię w imieniu duszy, stawiając ją między nami jako arbitra, wówczas przez jego młode oczy spogląda taka sama dusza; dziecię czei i kocha wraz ze mną“.

Lecz jeśli to prawda, że najniższy z nas nie może uczynić najmniejszego ruchu bez porozumienia się z duszą i duchowem królestwem, w którym ona panuje, to również jest prawdą, że najmędrsi nie myślą prawie nigdy o nieskończonym, które potrafi usunąć otwierając się powieka, pochylając się głowa, zamykając się ręka. Żyjemy tak daleko od siebie samych, że nie wiemy prawie o niezem, co dzieje się na widnokręgu naszej istoty. Błąkamy się bez-

myślnie po dolinie, nie pamiętając, że wszystkie ruchy nasze będą odtworzone i nabiorą znaczenia na szczycie góry; trzeba, aby od czasu przyszedł ktoś i powiedział: Podnieście oczy, spojrzcie, czem jesteście, przyjrzyjcie się, co robicie; nie tu żyjemy, lecz tam jesteśmy, wysoko. Wejrzenia zamienione w mrok, słowa, które nie miały znaczenia u stóp góry — popatrzcie, czem się stały i co oznaczają ponad śnieżnymi szczytami; i jak te ręce, o których sądziliśmy, że są tak słabe i tak małe, każdej chwili dotykają Boga, nie domyślając się tego.

Przychodzą tak niektórzy, dotykają naszego ramienia i ukazują palcem na to, co dzieje się na lodowcowych szczytach tajemnie. Ci nie są liczni. Zaledwo trzech czy czterech można wymienić w naszym wieku. Pięciu czy sześciu było w wiekach innych; a wszystko, co zdołali nam powiedzieć jest niezem w obec tego, co jest i o czem wie dusza nasza. Lecz cóż stąd? Alboż nie jesteśmy podobni do człowieka, który utracił zwrók w pierwszych latach swego dzieciństwa? On widział niewyczerpane widowiska bytu. Widział słońce, las i morze. Cuda te pozostały na zawsze w jego istocie; cóż możecie mu powiedzieć i czem będą wasze biedne słowa w obec owych polanek, burz i jutrzni, żyjących jeszcze w głębi jego umysłu i ciała? Lecz wszakże słuchać nas będzie z radością cheiwą i zdziwioną i chociaż wie wszystko, a słowa wasze przedstawiają mu mniej dokładnie, niż szklanka wody przedstawia wielką rzekę, małe niedołążne frazesy, które padają z ust waszych ukazały mu na chwilę ocean, gwiazdy, ciemne gęstwiny liści, to wszystko, co w ciemnościach spało pod jego martwymi powiekami.

Oblicza owego „ja transcendentalnego“, o którym mówi Novalis, prawdopodobnie są niezliczone, i żadnemu z moralistów mistycznych nie udało się zbadać podobnych. Swedenborg, Paskal, Novalis, Hello i kilku innych badali nasze stosunki z nieskończonym, abstrakcyjnym, subtelnym i bardzo dalekim. Wprowadzali nas na góry, których szczyty nie wydawały się nam naturalne lub zdadne do zamieszkania i gdzie nieraz oddychaliśmy z trudnością. Goethe towarzyszył naszej duszy na wybrzeżach morza Wypogodzenia; Marek Aureliusz każe jej usiąść na pochyłości wzgórz ludzkiej dobroci, doskonałej a znużonej, pod listowiem zbyt ciężkiem beznadziejnej rezygnacji; Carlyle, brat duchowy Emersona, przysłał nam w tym wieku ostrzeżenie z drugiego końca doliny; nimi błyskawicami błyska bohaterskimi momentami naszej istoty na tle nieznanego, niezmiennie potwornego, wśród ciemności i burzy. Wiedzie nas jak oszalałe stado przez te burze ku nieznanym pastwiskom, przesiąkniętym siarką. Nagle odkrywa w radością najgłębsze ciemnie, rozświetlone jedyłą gwiazdą bohaterów, pojawiającą się peryodycznie, świecąca jaskrawie, pędzi nas w te ciemności i tam, ze złośliwym uśmiechem, pozostawia nas samych na rozprzestrzenionych odmętach tajemnicy.

Lecz oto, w tym samym czasie, zjawia się Emerson, dobry pasterz poranny bladezielonych łąk nowego optymizmu, naturalny, wzbudzający ufność. Ten nie zaprowadzi nas nad brzeg przepaści. Nie wywiedzie nas ze skromnego wnętrza rodzinnego; dla niego lodowce, morze, wieczne śniegi, pałac, stajnia, wygasłe ognisko nędzarza i łożo chorego — wszystko znajduje się pod jednym niebem, oczyszczone przez te

samę gwiazdy, poddane tym samym mocom nieskończonym¹¹¹

Dla wielu przyszedł w chwili, kiedy potrzebowali jego przyjsia, kiedy śmiertelnie odczuwali potrzebę nowych wyjaśnień. Godziny bohaterskie są rzadkie, godziny abnegacyi jeszcze nie powróciły, pozostaje nam tylko życie codzienne; a przecie nie możemy żyć bez wielkości. Życiu temu, nieposiadającemu już swych widnokręgów tradycyjnych, Emerson nadał znaczenie niemal znośne, może nawet zdołał nam ukazać, że jest ono dosyć dziwne, dosyć głębokie i dosyć wielkie, aby nie czuć potrzeby innego celu ponad życie samo. Nie wie o niem więcej od innych, ale dowodzi z większą pewnością i ufą w tajemnicę. Trzeba żyć, wam wszystkim, którzy dni i lata pędzicie bez czynów, bez myśli, bez światła, trzeba żyć, ponieważ życie wasze, mimo wszystko, jest niepojęte i boskie. Trzeba żyć, ponieważ nikt nie ma prawa usunąć się z pod duchowych wydarzeń tygodni banalnych. Trzeba żyć, bo niema godzin bez utajonych cudów, bez niewytłumaczonych znaczeń. Trzeba żyć, bo niema czynu, słowa, poruszenia, które wymknęłyby się niewyjaśnionym badaniom tego świata, „gdzie wiele jest do czynienia, lecz mało do wiedzenia“.

Niema życia wielkiego ani małego i czyny Regulusa lub Leonidasa nie mają żadnej wagi, jeśli je porównam z jaką chwilą tajemnego istnienia mojej duszy. Mogła lub nie mogła uczynić co oni czynili, te rzeczy jej nie dosięgły; i dusza Regulusa, kiedy wracał z Kartagi była zapewne tak roztargniona, jak dusza robotnika, który powraca do fabryki. Jest ona bardzo daleka od wszystkich naszych uczynków; jest bardzo daleka od wszystkich naszych myśli. Żyje sama, w głębi nas, życiem, o którym nie mówi; z wyżyn, na których królują, rozmaite istnień nie rozróżnia się. Chodzimy zgięci pod ciężarem naszej duszy; między nią i nami niema żadnej proporeyi. Może ona nie śni o tem, co robimy; i to się czyta na naszej twarzy. Jeśli można było spytać kogoś z innego świata, jaki jest syntetyczny wyraz ludzkiej twarzy — przyglądając się ludziom w ich radościach, w ich bólach, w ich niepokojach, odpowiedziałyby zapewne: Mają wygląd, jakby marzyli o czemś innym.

Choćbyś był wielkim i mądrym i wymownym, dusza biedaka żebrzącego na rogu mostu, nie będzie ci zazdrościła, ale twoja dusza może jej pozazdrości — ciszy. Bohater potrzebuje uznania zwykłego człowieka, ale człowiek zwykły nie żąda uznania bohatera; postępuje drogą swego życia zupełnie spokojny, jak ten, co ma wszystkie skarby swoje w bezpiecznym ukryciu przy sobie.

„Kiedy Sokrates przemawia, mówi Emerson, Lizys i Menexenes nie wstydzą się swego milezienia. Oni także są wiele. Sokrates zwraca się do nich, kocha ich, gdy mówią, bo każdy człowiek zawiera w sobie i jest sam tą prawdą, którą wygłasza człowiek wymowny. Ale w człowieku wymownym, właśnie dla tego, że umie mówić, zdaje się, jakby ta prawda mniej przemieszkiwała; i dlatego to właśnie zwraca się on do tych czarujących, cichych z wyróżnieniem i szacunkiem wyższym“.

Człowiek jest cheiwy wyjaśnień. Potrzebuje, aby mu ukazano jego życie. Cieszy się, gdy gdziekolwiek znajdzie należyte wytłumaczenie drobnego ruchu, który dwadzieścia pięć lat temu uczynił. Lecz tu

niema ruchów drobnych; są tylko po większej części stany naszej duszy powszedniej. Nie znajdziecie tu wiecznego charakteru myśli Marka Aureliusza? Tu, jest tylko człowiek, nie więcej. Nie wyrósł samowolnie; stał się nam tylko bliższym niż zazwyczaj. Jest to Jan, budujący swój dom, Piotr, strzyżący swe drzewa w ogrodzie, wy, co mówicie mi o swoim żniwie, ja, który podaję wam rękę; lecz wszyscy znajdujemy się w chwili, w której dotykamy bogów i zaskiwieni jesteśmy tem wszystkim, co czynimy. Nie wiedzieliśmy, że wszystkie siły duszy były obecne, nie wiedzieliśmy, że wszystkie prawa świata dokoła nas czuwały; obracamy się i oglądamy, nie mówiąc nie, jak ludzie, co widzieli cud.

Emerson przyszedł potwierdzić z prostotą tę jednostajną, ukrytą wielkość naszego życia. Otulił nas milezieniem i podziwianiem. Podesłał smugę światła pod stopy pracownika, który wychodzi z warsztatu. Ukazał wszystkie moce nieba i ziemi, podtrzymujące próg, na którym dwaj sąsiedzi rozmawiają o padającym deszczu, o zrywającym się wietrze; ponad głowami dwóch idących obok siebie przechodniów wskazał oblicze Boga, uśmiechającego się do Boga. Jak nikt inny jest blizkim naszego życia powszedniego. Jest mędroem dni powszednich, a wszak dni powszednie są w summie substancją naszej istoty. Nieraz lata całe uchodzą bez namiętności, bez cnót, bez cudów. Nauczcie się szanować małe godziny życia. Jeśli potrafię przeżyć dzisiejszy ranek według ducha Marka Aureliusza, nie śpieszcie podkreślać moje uczynki, bo i ja także wiem, że coś zaszło. Lecz jeśli mniemam, że straciłem dzień na mizernih zabiegach, a wy zdołacie mi udowodnić, że jednak żyłem równie głęboko jak bohater i dusza moja praw swych nie straciła, uczynicie więcej, niż gdybyście mnie przekonali, że zbawiłem dziś swego wroga, bo powiększycie we mnie sumę, wielkość i żądzę życia, a dzień jutrzejszy może potrafię przeżyć z godnością.

BENEDYKT ELMER.

ODWRÓCENIE WSZELKICH WARTOŚCI.

(FRYDERYK NIETZSCHE).

We wszelkiem filozofowaniu rozchodziło się dotychczas wcale nie o „prawdę“, lecz o coś innego, powiedzmy o zdrowie, przyszłość, wzrost, potęgę, życie...

Przedmowa do „Wesołej nauki“.

Cóż tedy przeciwstawia Nietzsche sumieniu, szczęściu, instyktowi społecznemu, wogóle całemu szeregowi wartości dawnych? Jeżeli przyznamy, że jest dla nich formułą zaprzeczenie woli lub przynajmniej jej skarlłowacenie, to założywszy, że Nietzsche tylko odwraca, czy nie musimy dojść do wniosku, że nową zasadą będzie „wola do potęgi“ (*Wille zur Macht*).

I rzeczywiście; z logiczną konsekwencyą wypisuje Nietzsche na swym sztandarze „wolę do potęgi“ w tem znaczeniu, iż ją identyfikuje z „wolą do życia“. Jakiego życia? — W którym kierunku? — Na to pytanie odpowiadają komentatorowie, krytycy, entuzjasci i przeciwnicy rozmaicie i — o cud! — wszyscy mają słuszność. (Rozwiązanie zagadki): Nietzsche sprzeciwia się tutaj niejednokrotnie sam sobie i upoważnia przez to do bardzo dowolnej interpretacyi. Raz n. p.

(poza granicą dobrego i złego) żąda, aby indywiduum niższe ewentualnie poświęciło się nawet dla indywiduum wyższego — co jednak na to powie wola do potęgi, którą bezsprzecznie posiada a niższe indywiduum? Co ważniejsza: zasada ta bezwzględnie stosowana, obróciłaby się przeciw sobie samej, przeciw życiu. Wola do potęgi zaznaczałaby się wprawdzie, ale ubożałoby samo życie (przypominamy bellum omnium in omnes!) Zdaje mi się, że słusznie wątpliśmy, czy wystarczy tylko odwracać wartości. Zobaczymy jednak, o ile ta zasada okaże się użyteczniejszą w „tłumaczeniu“ objawów sztuki i poznania. Z aktualnych względów interesują zwłaszcza poglądy Nietzschego na sztukę.

Jak wiadomo, pokutuje Nietzsche w szufladce „indywidualistów.“ Lecz gdy w imię indywidualizmu w sztuce — podobno tak tytułuje się to nieskromne bydlę — staje się dozwolonym każdy, choćby bijący w oczy idyotyzm (— zrobiono w tym kierunku pewne spostrzeżenie: im bezmyślniejsze jest hasło, tem uchodzi za „głębsze“ —), gdy go wita się nawet z niekłamany częstokroć entuzjazmem, to doprawdy niespodzianką będzie dla wielu i zimną kąpielą to, co mówi „indywidualista“ Nietzsche.

„Wielkość artysty mierzy się nie według „pięknych uczuć“ które on wzbudza, — w to mogą wierzyć kobiety — lecz według stopnia, w którym on zbliża się do wielkiego stylu... Stać się panem chaosu, którym się jest; zmusić swój chaos aby stał się formą; stać się logicznym, prostym, niedwuznacznym, matematyką, prawem — to jest tutaj wielką ambicyą.“ Nie wielu takich wielkich „ambitnych“ wykazują dzieje sztuki. Tymczasem artyści wypełniają luki uzdolnienia, wychowania, tradycyi, jak się da. Grają na instynktach, idealizmie, religijności, patryotyzmie, demokratyzmie, mieszają jedną sztukę z drugą, w poezyi są malarzami i muzykami, w malarstwie literatami, w muzyce dramaturgami i filozofami, uderzają naraz we wszystkie dzwony i... zdobywają publiczność, która chce być wiedzioną i uwiedzioną. Do rzadkości należą artyści, którzy mają coś do powiedzenia. Ten brak tak łatwo można zastąpić: wystarcza tylko fałszywie „wzmocnić“. Najczęściej spotyka się takie „koturny“ w liryce — która pono już w swej istocie ma być sztuką *par excellence* koturnową, sztuką wspinania się na palcach i „krzyku“ w nastrojowym dramacie i powieści „poetycznych“, uczuć i słów. Takie plawienie się w jednym uczuciu, jest wprawdzie bardzo możliwe: częstokroć prawdziwe, lecz łatwe, jak łatwe jest zestawienie anegdot, wypadków, opisów, w naturalistycznej powieści. „Takie ustawiczne *espressivo* nie jest weale objawem siły, lecz braku uczucia“.

Cóż to jednak nas obchodzi, czego wyrazem jest sztuka? Byle tylko nam się podobiała. Lecz przedewszystkiem taki punkt widzenia ma tylko ten, który odbiera wrażenie, ale nigdy twórca. Po drugie nie wystarcza zatrzymać się przy nagim fakcie rozkoszy estetycznej. Niezbędna jest jeszcze analiza warunków, które składają się na rozbudzenie rozkoszy. To znaczy, znowu oceniać dzieło sztuki ze stanowiska twórcy.

Dopiero analiza samej twórczości wykazę, że sztuka nie jest wartością absolutną, lecz, że podlega podobnie jak dobre i złe, zasadzie względności (— która jednak nie jest zasadą kaprysu, jak sobie w naiwności ducha wyobrażają estetyczni wygodnisie—).

Owym stałym punktem, z którego się otwiera

perspektywa na piękno i brzydotę, jest życie. Jako piękne odczuwamy to, o czem wiemy instynktownie, z najdłuższego doświadczenia, iż przyczynia się do utrzymania i wzrostu życia; nie tylko jednak rzeczy i stany pożyteczne, lecz także uczucia tym rzeczom towarzyszące, czyli ich symbole. Podobnie i to, co nazywamy brzydkiem, wyraża sąd o negatywnych warunkach utrzymania i wzrostu pewnego określonego gatunku człowieka: w ten sposób będzie miał człowiek z trzody uczucie piękna przy innych przedmiotach, jak człowiek wyjątkowy, lub nadezłowiek“.

Wszelka sztuka działa tonicznie, napina i potęguję siłę, wywołuje rozkosz — przypuściwszy, że rozkosz jest zjawiskiem, które towarzyszy wzrostowi siły. W takim każdorazowym *plus* siły, które objawia się uczuciowo jako upojenie (*Rausch*), znajduje sztuka swe źródło. Lecz jest faktem, znany w fizyologii, że czasem zubożenie maszyny ludzkiej umożliwia anormalne stany potęgi i upojenia, n. p. w wypadkach hysterii kobiecej. Przyczyną dzieła sztuki będą w wypadkach wzmocnienia i zubożenia siły różne, wrażenie estetyczne, skutek będzie jednaki. Teraz może zrozumiemy, iż weale nie jest obojętną kwestyą, czy dana sztuka wyrosła z nadmiaru, czy z despresyji. Za ekstazy ostatniego rodzaju pokutuje artysta. Z obawy wyczerpania, staje się on, jeżeli już nie ascetą, to przynajmniej bardzo umiarkowanym, zwłaszcza *in eroticis*.

Utajona energia przekształca się i wybucha z siłą żywiołową. Artyści tedy z instynktu nie są ludźmi wielkiej namiętności. Wyzyskują ją tylko. Przykładem Goethe, który oszczędzając w sobie człowieka, wmawiał w siebie i w drugich, że sztuka wyzwala go z namiętności. W rzeczywistości jednak...

Na tem zakończmy przedstawienie estetycznych poglądów Nietzschego, który zwłaszcza wobec pesymizmu i tragizmu w sztuce, zajął stanowisko bardzo oryginalne, rozwinął zaś je bez porównania obszerniej, niż w omawianem przez nas dziele, już w pierwszej swej pracy, w „Narodziinach tragedyi“. Lecz stanowisko to znalazło dotychczas stosunkowo mało zwolenników, którzy na dobitkę złego zmyleni po największej części pewną — wyjątkową zresztą — ciemnością wykładu, uprawiają na rachunek Nietzschego wszelakiego rodzaju głębokie mistycyzmy dyonizyjskie i apollinijskie, muzyczne i opętane, wyrastające na głębie życia odmienianego we wszystkich przypadkach, ze wszystkimi przyimkami miejsca.

Wprost przeciwnie ma się sprawa z teoretycznymi podstawami jego filozofii, z jego psychologią poznania. Jest ona zarówno w zasadzie owej jak i w najdrobniejszych nawet szczegółach na wskróś empiryczną — fakt, o ile nam wiadomo, zapoznawany lub niedoceniany przez całą odnośną literaturę krytyczną. Trudno tylko na pewne rozstrzygnąć — z braku należytego materiału biograficznego, w jakim stosunku zależności pozostawał Nietzsche do zadziwiająco mu pokrewnego czystego empiryzmu, reprezentowanego współcześnie przez E. Macha. Uderzającym jest jednak zjawisko, że podstawowa z filozoficznego punktu widzenia, świadoma i celowa praca Macha (*Die Analyse der Empfindungen*) i śmielsze empiryczne *aperçus* Nietzschego w „Poza granicą dobrego i złego“ przypadają na ten sam rok 1886. Możliwym jest bardzo, że Mach utrwalił tylko i umocnił w Nietzschem to, co jeszcze wrzało, dopiero światło...

Bo już w rok później nosi się Nietzsche z zupełnie dojrzałą myślą „krytyki najwyższych wartości“, zawierającej rozwiązanie najważniejszych zagadnień teoretyczno-poznawczych w duchu współczesnej empiryki. Kto zna rozwój najnowszej myśli filozoficznej, musi ten czyn uważać za niepospolicity.

Za zasadniczy, niezawodnie pewny punkt wyjścia uchodziło w filozofii kartezjańskie „myśle, więc jestem“. Tymczasem powyższe zdanie nie jest skonstatowaniem faktu, lecz zawiera z góry pewien postulat logiczno-metafizyczny: 1) że jest jakieś ja, które myśli, pewien podmiot, sprawca, 2) że istnieje „myślenie“, czysty akt myślenia. To (myślenie) jest zupełnie dowolną fikcją, uzyskaną przez wydobycie jednego elementu z przebiegu i podporządkowania wszystkich innych, sztuczne przyprawienie w celach porozumiewania się...

Nie lepszego rodzaju istnieniem cieszy się logika jak i najrozmaitsze kategorie rozumu. Poza wszelkimi doświadczeniami, przed doświadczeniem — pomijamy, że były niemożliwe — nie mają one najmniejszego znaczenia. Zadaniem ich jest opanowanie niesłychanie bogaty materiał doświadczalny, ująć go w formy pojedyncze, proste, wyraźne, ułatwiać oryentowanie się. Logika jako kryterium prawdy to — paradna komedia, w której środki stały się celem, stały się „rzeczą samą w sobie“.

„Nie istnieje ani „duch“, ani rozum, ani myślenie, ani świadomość, ani dusza, ani wola, ani prawda: wszystko to fikcje nieużyteczne. Rozchodzi się nie o „subjekt i obiekt“, lecz o określony gatunek zwierza, który wzrasta wśród pewnej względnej prawdziwości, przedewszystkiem regularności swych wrażeń (tak że może kapitalizować doświadczenie...)“

Prawda jest więc niezem innym jak tylko narzędziem woli, dążącej do opanowania chaosu doświadczeń, zawdzięcza tedy swe pochodzenie pożyteczności utrzymania się, nie zaś jakiejś abstrakcyjno-teoretycznej potrzebie, żeby się nie dać oszukać. Później dopiero staje się „prawda“ celem samym w sobie.

Przypuśćmy jednak, że tak jest, że nasze poznanie nie jest odbiciem rzeczywistości, jej idea adaeognata, że jest tylko fałszowaniem świata, czyż nie wpadamy tem samem bez ratunku w objęcia skrajnego sceptycyzmu? — Za pozwoleniem. „Widzę ze zdumieniem, że nauka skazuje się dzisiaj z rezygnacją na świat pozorny: świat prawdziwy — niech on będzie, czem chce — z pewnością nie mamy dlań organu poznania.“

Tutaj możnaby już zapytać: jakim organem poznania zakłada się też tylko jego przeciwieństwo?... Z takim samem tedy prawem, z jakim nazywamy ten świat pozornym, możemy go uważać za realny i prawdziwy. Nie daleko odbiegł od prawdy ten, który w rozpacz nazwał teoretyczny iluzjonizm, owo jedyne logicznie niezbite stanowisko — hipertrofia logicznego sumienia.

Padły ostatnie fetysze. Jutrzenka wschodzi: już najwyższy czas przejść od eliminowania i krytyki do twierdzeń i pozyeji.

PISMA.

(ze) Teka, czasopismo młodzieży polskiej, przynosi w ostatnim (grudniowym) numerze zeszyt rocznym artykuł pióra p. P. M. o Gustawie Daniłowskim. Omówiwszy krótko pierwsze utwory: nowele i tomik poezyj Daniłowskiego, autor artykułu poświęca dłuższe ustępy ocenie allegorycznego poematu „Na wyspie“ i „przepysanej powieści“ p. t. „Z minionych dni“. Rozbiór ostatniego dzieła młodego pisarza, „pokrewnego — słowa p. P. M. — Żeromskiemu ducha, choć samoistnego“, poprzedzają trafne uwagi o t. zw. powieści społecznej. — W dziale „Z pism i książek“ znajdujemy rzecz o „Naszej młodzieży“ Scriptora i p. Władysława Studnickiego surowy, lecz słuszny sąd o krakowskim *Poglądzie na świat* i książce jego redaktora p. W. M. Kozłowskiego p. t. „Co i jak czytać?“

(t. s.) Grudniowy zeszyt miesięcznika „La Revue du Bien“, wychodzącego w Paryżu pod redakcją p. Marc Legrand'a, poświęca obszerny dział jubileuszowi Maryi Konopnickiej. Otwiera go piękny artykuł o poetce-jubilatce pióra p. Jana Lorentowicza. P. Lorentowicz, przebywający w Paryżu, jest stałym sprawozdawcą z umysłowego ruchu literatury i sztuki polskiej w jednym najstarszych i najpoważniejszych miesięczników francuskich „Mereure de France“ i w tym charakterze mieliśmy już niejednokrotnie sposobność w tem miejscu wspomnieć jego nazwisko. Pośród licznych informatorów zagranicy o rzeczach polskich ma on tę cenną a bodaj jedyną zaletę, że artykuły jego mają prócz sprawozdawczej rzeczywistości krytyczną wartość literacką. W obszernym swym szkicu o Konopnickiej, zaznaczywszy u wstępu wyjątkowe zjawisko niezwykłego udziału kobiet w dzisiejszym ruchu umysłowym Polski, charakteryzuje poszczególne momenty twórczości Konopnickiej aż po chwile najnowsze. Pracę swą kończy p. L. następnymi słowy: „W ciągu 25-letniej twórczości poetyckiej Konopnicka nie przestała twierdzić, że sztuka winna być jak najściślej związana z bólem i cierpieniem narodu, że czyn bohatera zawiera piękność równie wzniosłą a bardziej cenną niż dzieło sztuki. I dlatego naród, który tak potrzebuje czynu, i który silnie wierzy, że literatura wiedzie go ku przyszłości, urządził słusznie na jej cześć wspaniałe uroczystości, sławiące poetkę i bohatera.“

Prócz powyższego studium mamy tu krótką bibliografię utworów poetki, dalej tłumaczenie dwóch wierszy i jednej noweli, dokonana przez p. Legrand'a, wreszcie obszerny opis uroczystości jubileuszowych w Krakowie i we Lwowie. Dział ten przyozdabiają dwa portrety poetki, nadto winiety i inicjały Okunia, Stanisławskiego, Krzyształowicza, Górskiego i Mehoffera.